

SŁOMIANE POWRÓŚLA

Słoń jest najsilniejszym wśród wszystkich zwierząt. Jednak chłopcy indyjscy, aby zabezpieczyć się na noc przed ucieczką słonia oswojonego — nakładają mu na tylną nogę zwykłe słomiane powróślo, przywierzone do białego jakiego drąga. Tylko dzięki, niedaw-



no schwytanego słonia, trzeba przywiązywać grubym, żelaznym, odpowiednio umocowanym łańcuchem. Potem wystarczą już sygnały z przyzwyczajenia sędzia.

Ciekawostka ta nasuwa się, gdy zapoznajemy się z rolą, jaką w rozwoju postępu odgrywały najdziwniejsze częstokroć przesady.

Przez długie wieki wierzone, że mężczyzna ma o jedno żebro mniej niż kobieta. Wystarczało wprawdzie pomacać i policzyć, ale... przecież Biblia wyraźnie stwierdza, że jedno żebro Adama poszło na stworzenie Ewy.

Przez stulecia trwała walka zwolenników teorii Kopernika z oficjalnym, wówczas obowiązującym pod groźbą surowych kar poglądem Kościoła, opartym znowu na świadectwie Biblii...

Przez całe lata trwała opozycja wobec stosowania przez lekarzy narkozy w czasie zabiegów chirurgicznych. Twierdzono, że podawanie środków narkotycznych podczas operacji sprzeciwia się zasadom wiary, bowiem „ból został dany przez Boga po to, by człowiek cierpiał”. W interpretacji zadających dewotek i dewotów z owych lat — ból, cierpienie, to zesłany przez Boga próbiez cierpliwości chrześcijańskiej, okazja do odkupienia grzechów.

Podobne sprzeciwu napotkali pierwsi pionierzy antyseptyki. Wsteczników nie wzruszał fakt, że w tamtych czasach w klinikach położniczych spowodowana przez gorączkę popołożową śmiertelność wśród kobiet rodzących dochodziła do 100%. Odkrycie wiedeńskiego lekarza Semmelweissa, który pierwszy zaproponował i niebawem udowodnił skuteczność zabiegów antyseptycznych — zostało po prostu wymiślane.

„Mogę zrozumieć, że Opatrzność spowodowała zgon tylu rodzących — pisał o odkryciu Semmelweissa jeden z zafascynowanych w profesorskiej tozde — bo potrafię sobie od biedoty stworzyć jakieś pojęcie Opatrzności. Ale nawet wyobrazić sobie nie potrafię, co to takiego zakażenie”.

Dopiero w kilkanaście lat po odkryciu Semmelweissa doceniono znaczenie antyseptyki. Przez kilkanaście lat niepotrzebnie umierali ludzie, wówczas gdy istniały już możliwości uratowania im życia.

A jednak mimo wszystko ludzie przekonali się w końcu, że powróślo jest tylko powróślem, że wystarczy je mocniej szarpać, by wyzwolić się z jego pęt.

Przytoczone wyżej przykłady łatwo można sprowadzić do wspólnego mianownika. Są one w istocie ilustracją wielkiego światopoglądowo-filozoficznego sporu, który toczy się od wieków między materializmem a wszystkimi antynaukowymi kierunkami. Sporu o to, czy świat jest poznawalny dla człowieka, czy nie.

Z punktu widzenia materializmu nie ma w przyrodzie tajemnic niepoznawalnych, nie ma dla człowieka rzeczy niepojętych. Są tylko rzeczy dotąd nie poznane, które kiedyś poznane będą.

Prawa przyrody — jak stwierdza naukowy światopogląd — mogą być przez człowieka odkryte, a w konsekwencji ludzkość może świadomie i we właściwym kierunku zmieniać, przekształcać przyrodę w oparciu o znajomość rządzących nią praw, przekształcać ją dla swego dobra. Historia postępu po wielokroć potwierdziła słuszność tego stanowiska.

T. JĘDRZEJEWSKI

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok V numer 5

Niedziela, 30 I 1955

Na teatralnym „winobraniiu”

Leszek Prorok

Fasta, „Chirurga” Korniejczuka, Molierowskiego „Świętoszka” i sceniczną adaptację „Świerszcza za kominem” — Dickens.

Widziałem jedynie dwa z powyższych przedstawień. „Chirurg” Aleksandra Korniejczuka prezentuje zagadnienie postawy humanistycznej w odpowiedzianym społecznie zawodzie lekarza i jej biurokratycznej wulgaryzacji. Płaton Kriczet, zdolny chirurg prowincjonalnego ukraińskiego miasta, dąży do przedłużenia życia ludzkiego. W walce tej upatruje swój główny cel.



Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze — „Chirurg” Korniejczuka. Od lewej: Teresa Watras, Józef Powojewski, Karol Hrubý, Irena Lubicz-Łozińska. Scenografia: Adam Stańkowski.

Rzadko która scena uczy się tyle, spoglądając wstecz na swoją pracę, co placówka wyrosła z nadodrzańskich świetlicowej pionierki. Początek Teatrowi Ziemi Lubuskiej dał amatorski zespół sceniczy zakładów „Polska Wełna”. grywający od pamiętnej premiery „Zemsty” w listopadzie 1951 r. na prawach sceny uzawodowionej. W latach 1952 i 53 przygotował on 15 inscenizacji sztuk klasycznych i współczesnych, obsługując 28 miejscowości Ziemi Odzyskanych.

Zasadniczym obciążeniem artystycznym tego okresu był brak wytrawnych reżyserów i scenografów. Lukę tę zapelniał z konieczności, wbrew zdrowym regułom pracy scenicznego, ówczesny dyrektor teatru — St. Cegielski.

Z dniem 1. 1. 1954 dyrekcję i kierownictwo artystyczne objął doświadczony artysta stołeczny. Zbigniew Koczanowicz, stawiając sobie za naczelne zadanie podciągnięcie poziomu amatorów, pełnych najlepszej woli, zapału, pozbawionych na ogół jednak przygotowania zawodowego. Teatr otrzymał zastrzyk kwalifikowanych sił aktorskich. Na afiszu poczęły pojawiać się na zwiska zaproszonych reżyserów warszawskich, łódzkich i in., przygotowujących poszczególne sztuki.

Już pierwszy przegląd w połowie ub. roku ujawnił pomysły skutki tych zmian. Pieczołowita opieka pozwoliła wiełu pionierom z „Polskiej Wełny” na zbudowanie przekonujących, udatnych kreacji. Ujawniła też szereg drzemających talentów i nadała im pewien szlif. Poprawa poziomu i rosnąca waga Teatru Ziemi Lubuskiej w bilansie kulturalnym ziem nadodrzańskich doprowadziły z dniem 1. 1. br. do pełnego już włączenia sceny zielonogórskiej, uprzednio subwencjonowanej przez Centralny Zarząd Teatrów, do sieci polskich scen państwowych.

Przed kilku dniami odbył się w Zielonej Górze przegląd repertuarowy II półrocza 1954 r. T. Z. L. przedstawił pięć inscenizacji: komedię współczesną Jurgielewiczowej „Kłopot z mężczyznami”, „Trzydzieści srebrników” H.

Przeszkody i opór napotyka ze strony bezdusznej administracji szpitala, dla której wyniki pracy zakładu wyrażają się wyłącznie w ilości zorganizowanych masówek i narzuconych lekarzom płytkich obowiązków ubocznych ze szkoda dla ich pieczy nad chorymi.



„Świętoszek”. Od lewej: Zb. Pieczul, K. Nogajówna i W. Zeličowska. Fot. Antoni Jeśmontowicz

Choć sztuka ta, z rzędu komedii poważnych, godzących humor i satyrę ze sprawami dalekimi od śmiechu, powstała przed dwudziestu laty, jej problematyka wciąż dźwięczy żywo na naszym terenie, a wielkie wartości wychowawcze zwiększają jej walor społeczny. Niesposób zresztą w krótkiej korespondencji zarysować wszystkie zagadnienia ześrodkowane w postaci tytułowego bohatera, jak choćby włączoną w nurt akcji miłość, pełną moralnych konfliktów.

Reżyseria Zb. Koczanowicza (równocześnie odtwórcy tułowej roli) ukazała zalety szczególnie atrakcyjne w inscenizacji utworu o stęzonej problematyce. Oszczędność w gospodarowaniu efektami zewnętrzными zmierzająca do gry głębią, do zwrócenia uwagi na bogate znaczeniowo „dno” tekstu. Po podobnej linii zmierzali główne kreacje przedstawienia, wspomniana sugestywna rola Kriczeta oraz postać Beresta, przewodniczącego komitetu wykonawczego, w przekonującym, choć dyskretnym ujęciu Karola Hrubego. Teresa Watras w czolowej roli kobiecej, architektki Lidy, ukazała postępowy stosunek do swych zesłorocznych kreacji; postać tej brakowało jednak pożytecznej przedstawienia stały się kreacje Józefa Powojewskiego w roli internisty Bułbiki, który wysłuchał już 90 000 serc ludzkich, i pełna szczerego humoru rolka uczeni Majli (Elżbieta Pasierbówna).

Właśnie przed kilku dniami, gdy Warszawa obchodziła 10-lecie wyzwolenia, wyszła na jaw dość nieprzyjemna sprawa: dzieci piewcy starej Warszawy, poety Or-Ota, dziś już sędziwi ludzie, mieszkają kątem w jakiejś mocno podniszczonej izdebce.

Warszawiaczy, nawet ci, którzy wciąż jeszcze niecierpliwie czekają w kolejce na no-

ku do swych zesłorocznych kreacji; postać tej brakowało jednak pożytecznej przedstawienia stały się kreacje Józefa Powojewskiego w roli internisty Bułbiki, który wysłuchał już 90 000 serc ludzkich, i pełna szczerego humoru rolka uczeni Majli (Elżbieta Pasierbówna).

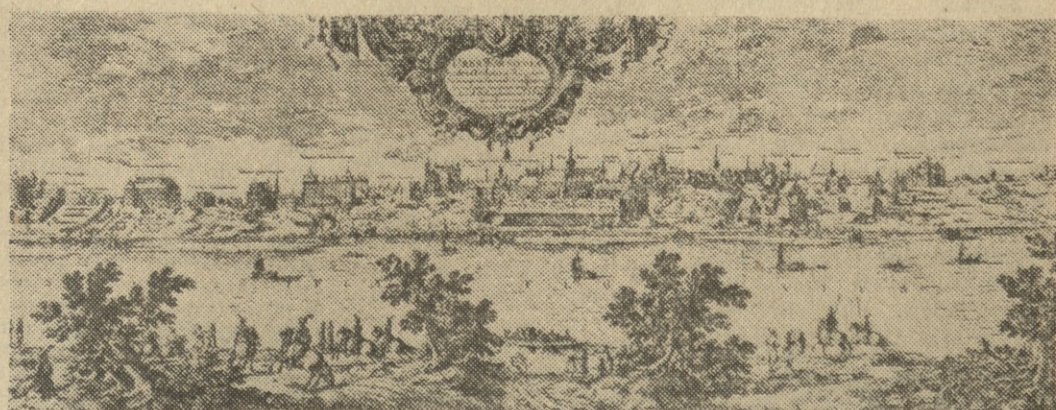
„Świętoszek” (w reżyserii Stefana Drewicza) okazał się przedstawieniem nierównym. Pierwsze skazy ujawniła oprawa scenograficzna. Sliczne kostiumy stołecznej projektanta — Wł. Daszewskiego, pastelowe w barwach, klóciły się z dekoracją (K. Felchnerowicz i W. Nowickiego), poprawną w konstrukcji sceniczej, lecz zbyt intensywną i niezharmonizowaną w wyrazie kolorystycznym. Podobne rysy znać było również w grze. Całkowita satysfakcję sprawiła rola Tartuffe'a (Jan Cybulski), rozebrana przy pomocy bogatego arsenału środków aktorskich (szczególnie ekspresja słowna i gra spojrzeń) oraz uroczą, pełną naturalnej werwy i temperamentu Doryna w ujęciu młodzieńczej, lecz liczącej na swym aktorskim koncie kilka rzetelnych sukcesów Razimiey Nogajówny. Wymienić nad to trzeba ciekawe role pani Pernelle (J. Wrońska) i Elmiy (L. Nowicka-Krajewska).

Wśród pozostałych, obok poprawności, trafiały się również różne nieporozumienia. Ważne jest jednak, że spektakl trzymał należyte, nie zawodził nas wciągające tempo i uratował naczelną myśl przed wodniolą Molierowskiej arcykomedii: uderzenie w hipokryzję oraz walkę z despotycznym, ślepym patriarchalizmem.

Równie ważna, jak scena, była dla mnie obserwacja widowni. Zielona Góra nie jest wielkim miastem. Gdzie indziej, w podobnych warunkach, teatr w ciągu 2 dni potrafi obsługiwać potrzeby terenu. Tu widownia, licząca ponad 600 miejsc, była zapełniona w ciągu pięciu dni po brzegi. Na wiele miejsc rozkupiono abonamenty.

Publiczność lubuska żyła się ze swą sceną, szczególnie w roku ubiegłym; uczestniczyła żywo w ankietach i konkursach sceniczych (dołączanych do programu). Mają one na celu ożywienie i propagowanie wiedzy o teatrze. Publiczność reagowała nader żywo i inteligentnie na tak rozmaity zestaw sztuk półrocznego festiwalu.

Nie dopisali tylko goście przyjezdni — recenzenci, działacze kulturalni, ludzie teatru. A szkoda! Zielonogórskie „winobranie” teatralne może niejednego nauczyć. Trudności i potknięcia tej sceny należą przeważnie do osławionych trudności wzrostu. Teatr Ziemi Lubuskiej pokazuje natomiast ciekawe formy działalności terenowej, uczy wreszcie, skoro wnikać za kulisy, pożądanego stylu pracy, atmosfery koleżeństwa i zdrowych ambicji.



Widok Warszawy według miedziorytu z dzieła S. Pufendorfa „De rebus a Carolo Gustavo gestis” (Norymberga 1656 r.). Ekspozycja w „Muzeum Miasta Warszawy”. Fot. — CAF

ŻYCIORYS STOLICY

Korespondencja z Warszawy

we mieszkania, byli wielce nie zadowoleni z takiego stanu rzeczy. Wszystko, co ma związek z historią stolicy, należy uszanować, otoczyć serdeczną troską — taka niepisana opinia panuje wśród jej mieszkańców. Co prawda, „historyczność” rozumieją tutaj całkiem inaczej niż np. krakowianie; idzie nam przede wszystkim o głęboki sentyment dla pamiętek przeszłości, a nie o stałą obecność dawno zgasyłych mitów w życiu miasta...

Mimo wszystko, wiele sprzeciwów wzbudził w ostatnich miesiącach projekt poświęcenia całej Strony Dekerta na Rynku Staromiejskim (9 kamieniczek) na locus dla Muzeum Historycznego Warszawy. Niektórzy określili to jako nadmierny luksus, w czasie gdy istnieje jeszcze ostry kryzys mieszkaniowy.

Myślimy jednak, że postąpiono słusznie. Muzeum jest pewną wartością nadrzędną, ważną i potrzebną wszystkim — a przy rozmachu naszego

by i narzędzia, użyte przy budowie pierwszego mostu na Wiśle — wspaniałego przykładu ówczesnej techniki ciesielskiej.

Dziesiątki gablot dają świadectwo szybkiego wzrostu kultury materialnej w XVI i XVII wieku. Warszawa staje się wtedy głównym portem zbożowym na Wiśle i wielkim węzłem komunikacyjnym na międzynarodowych szlakach handlowych. Dzięki poważnemu nakładowi pracy udało się muzeologom zgromadzić liczne przedmioty zabytku, przykłady stylu życia bogacącego się mieszczaństwa i napływającej do stolicy szlachty. Obok rzeczy importowanych — wspaniałe dzieła ręk miejscowych złotników, snycerzy, rzeźbiarzy itp.

Szereg dokumentów i sztychów z XVIII wieku pozwala przeprowadzić porównanie między odbudowaną Warszawą po pożarach w r. 1607 i 1624, które zniszczyły miasto niemal całkowicie, a odbudowaną w naszych latach. Rzeczy to, istotnie, zupełnie niewspółmierne. — Z cyklu świetnych ilustracji E. Dahlberga odczytujemy warszawski fragment „po-



Widok na warszawski Stary Rynek, gdzie mieści się Muzeum (czytaj: art. „Życiorys stolicy”). Fot. — CAF

budownictwa mieszkaniowego, „ubytok” ten wyrówna się bardzo szybko.

Prowadzone na szeroką skalę prace przygotowawcze, przy współudziale wybitnych uczonych historyków i muzeologów — trwały z górą pół roku. Uroczyste otwarcie muzeum nastąpiło w rocznicę wyzwolenia, 17 stycznia br.

Z wędrowki po 50 latach wynosił człowiek silne wrażenie; wartość poznawcza stępiła się tutaj w jedno z czynnikami emocjonalnym.

Materiał rozmieszczony jest chronologicznie (stosownie zaniechano podziału na odrębne tematy). — Oto na wpół rozsypane pergaminy z okresu pierwszych dziesięcioleci miasta, rysunki pierwotnych wałów, modele murów obronnych, akta procesu polsko-krzyżackiego, odbywającego się w Warszawie w pierwszej połowie XIV wieku. Dalej — wzmianki o założeniu Nowego Miasta, o przyznaniu statutu pierwszym rzemieślnikom, kupcom itd. Znamienny jest fakt, że już w XV wieku majstrowie warszawscy ośmieli się z pięknych wyrobów skórzanymi i metalowymi; tradycja ta, jak wiemy, przetrwała aż do naszych lat.

Stara Warszawa pod koniec XVI wieku posiadała 70 proc. budynków murowanych. W Nowej Warszawie przeważała nadal budownictwo drewniane — wyjątkiem są kościoły i ratusz miejski.

Wiernie, z pełną gamą szczegółów, odtworzyli artyści-plastyści elewacje — i co bardziej interesujące — wnętrza stylowych kamieniczek, ścienne malowidła, ornamentacje.

Barwne plansze, a także oryginalne eksponaty obrazujące, jak powstał za czasów Zygmunta Augusta zamek warszawski w znanym nam do wojny kształcie; poznajemy sposo-

topu — sceny z bitwy między wojskami polskimi a szwedzkimi, stoczonej na polach Pragi i Żerania.

Na przestrzeni całej wystawy silnie akcentowane są sprawy urbanistyki i architektury; widz ma możliwość śledzenia niezmienne ciekawych przeobrażeń, jakie dokonywały się w tej dziedzinie od najdawniejszych czasów zakładania grodu — aż po dzień dzisiejszy. Bogato reprezentowane jest na wystawie malarstwo wielkich mistrzów warszawskich, szczególnie: Canaletta, Vogla, Zaleskiego, Lentza.

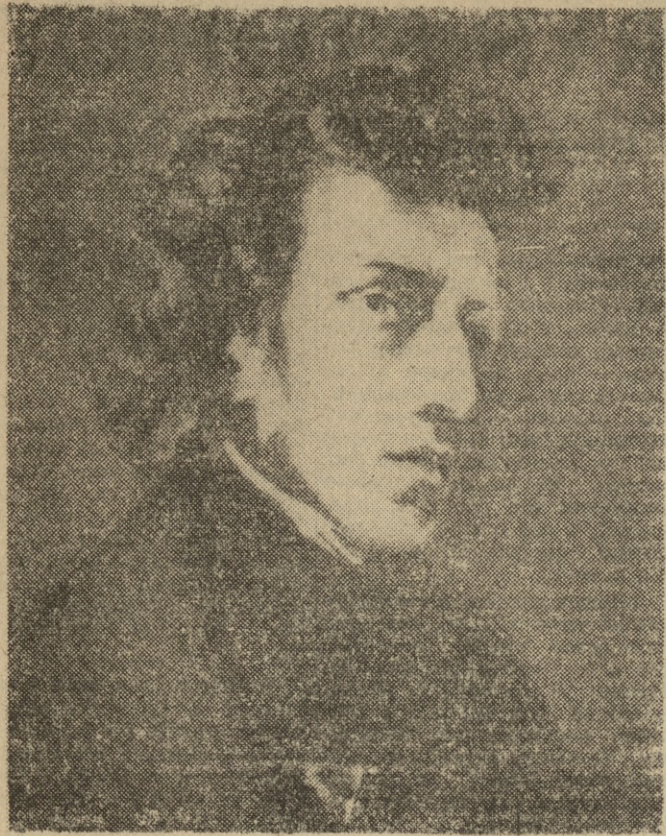
Wiek XIX ma na wystawie swoją obszerną kartę. Oto przy bywają stolicy nowe urządzenia techniczne: wiadukt Panzera, most żelazny, sieć wodociągowa w centrum, gazownia, wreszcie kolej, tzw. wiedeńska (1845 r.).

Okres powstań ilustruje wielki zbiór pamiatków, broni, sztandarów i prasy powstańczej. Szczególnie uwagę zwracających skupiają akta audytoriatu polowego z zeznaniami Romualda Traugutta.

Najbardziej stosunkowo przedstawia się część ostatnia, gdzie znajduje odbicie okres lat 1900—1939. Tutaj, niestety, wystawa ogranicza się do roli użytkowo-propagandowej, i to w dość prymitywnym wydaniu. Sale zapełniają prawie wyłącznie reprodukcje, plakaty, plany i hasła, co przy wielkim ich nagromadzeniu — nuży zwiedzającego. Sprawa zresztą nie jest przesądzona: można na nowo opracować ten dział, gromadząc więcej oryginalnych eksponatów, wkładając w robotę więcej ambicji i pomysłowości.

Bo przecież wystawa zasługuje na to, by zapoznać się z nią koniecznie nie tylko każdy warszawiak, ale i każdy gość Warszawy.

FRANCISZEK DEKERT



Portret Chopina
Reprodukcja obrazu Delacroix

Przed konkursem chopinowskim

Szybkimi krokami zbliża się inauguracja największej imprezy pianistycznej świata — V Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie, imprezy szczególnie bliskiej nam Polakom i wszystkim muzycznym sercom, odnajdującym w nieśmiertelnych melodiach zaklętych w klawiaturę fortepianu najwyższe techniczne wielkie sztuki.

„Genialność Chopina jest wymownym świadectwem, że twórczość naprawdę wielka wyrasta z tego co ludowe” — powiedział Bolesław Bierut. Minione 105 lat od śmierci genialnego mistrza tonów, jak i popularność ostatniego konkursu chopinowskiego w Polsce Ludowej — prawdę tę potwierdzają. Konkursy chopinowskie przerosły znacznie swe pierwotnie skromne ramy. „Wyrośli one — jak wyrósł całe znaczenie sztuki i kultury w krajach miłujących pokój i

kroczących drogą postępu” — zauważa trafnie J. Iwaszkiewicz.

Pianisci większości państw świata w ilości 138 reprezentujących 33 kraje spotykają się w lutym i w marcu br. (22. 2. — 21. 3. 1955 r.) na swej „artystycznej olimpiadzie” współzawodnicząc o szlachetne miano najlepszego chopinisty. Możliwość porównania szeregu szkół artystycznych i interpretacji dzieł Chopina, daje młodym pianistom (w wieku od 16 do 32 lat) bardzo dużo przez skonfrontowanie własnych metod pracy i techniki wirtuozowskiej. Znaleźliście syntezę stylu chopinowskiego spośród ujęcia klasycyzującego, romantyzującego czy też ekspresjonistycznego — jest ambicją każdego młodego pianisty-wirtuozu sięgającego głębiej do treści dzieła niż do jego dźwiękowej architektury.

Polska, zgodnie z tradycją, wykształciła sobie całe pokolenia wybitnych chopinistów od Ignacego Paderewskiego, Józefa Sliwińskiego, Aleksandra Michałowskiego, Józefa Hoffmanna, Ignacego Friedmanna, Artura Rubinsteina poprzez Henryka Sztompkę, Zbigniewa Drzewieckiego, Stanisława Szpalskiego i Jana Ekię aż po laureatów ostatniego IV Konkursu z Haliną Czerną - Stefańską, Barbarą Hesse - Bukowską i Władysławem Kędram na czele.

Konkurs obecny odbędzie się w trzech etapach, przy czym w trzecim etapie przewidywany jest jeden z dwóch koncertów Chopina z towarzyszeniem orkiestry. O kolejności kandydatów do nagród i wyróżnień decyduje suma przeciętnych punktacji uzyskanych w trzech etapach. Oddzielnie punktują się wykonanie mazurków. Wszyscy uczestnicy II etapu konkursu otrzymują dyplomy pamiątkowe, a po zakończeniu konkursu laureaci jak i członkowie jury dadzą szereg koncertów na terenie Polski.

Teodor Smiełowski

NAJSTARSZE CZASOPISMO LITERACKIE W POZNANIU

napisał

Dr Zygmunt Dulczewski

Imię miało skromne, niewiele mówiące. Wyglądało tajemniczo. Żadnego nazwiska, żadnej bliższej informacji gdzie i przez kogo w świat zostało wyprowadzone. Nie figurowało na nim nazwisko redaktora, wydawcy, drukarza. Nie było śladu, kto może być autorem jego treści. Nie było daty ukazania się i miejsca wydrukowania.

„Co Tydzień”.

Nazwa zapowiadała po prostu pismo tygodniowe. Nic więcej. Gdyby nie język polski, barwny i żywy — trudno by odgadnąć dla jakiego przeznaczonego kraju. Mógłby być z powołaniem czytać Włoch, Hiszpan, Francuz, Rosjanin i każdy Europejczyk. Mówiło raczej do ludzi w ogóle, niż do Polaków. Pozbawione było narodowego charakteru.

Polecając pierwszy numer publiczności „Co Tydzień” nie zakreślał żadnego programu, niczego nie obiecywał.

Pisał: „Za nieobiecany mi jedną rzecz idzie, jak mi się zdaje, powabniejsza niż wszystko. Na pytanie jaka jest ta rzecz? Odpowiadam: wolność czynić co ci się podoba”.

Wierny tej zasadzie wchodził w różne tematy. Ganił np. autorów żalących się na kaprysy czytelników.

Mówił: „Nie czytelnicy winni temu, iż im dogodzić trudno, ale wiek oświeceniowy w powszechności, niż był przed tym. Nie z tego się teraz szacuje księga, iż jest księgą, ale stąd ma zaszczyt, kiedy jest dobrą, a choćby i mierna, będzie czy-

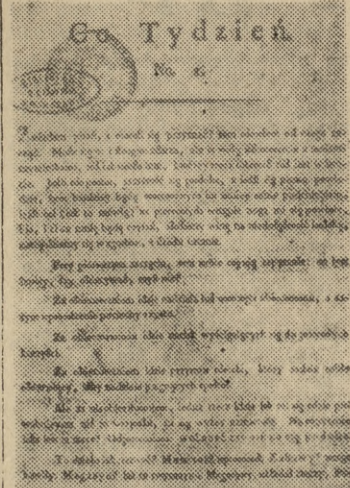
Rabusie z herbami

Dziedzic Młodaska pod Poznaniem, Seweryn Kesić, w połowie XVII wieku (najazd Szwedów) trudnił się rozbójnictwem i rabunkiem. Zebrał on — jak na podstawie dokumentów pisze dr Leon Białkowski w swoich „Szkicach” — kupę włóczew, łupili dwory duchownych i szlachty. Najwięcej od tej bandy ucierpieli chłopcy, od których Kesić wymuszał stancje i daniny. Kesić dał się także we znaki mieszczanom we Wronkach, których obrabował i wielu zabił.

„Piękne” rodowe klejnoty szlacheckie „wzbogacił” także rabunkami członkowie tej „chorągwi”. Jerzy Kurnatowski i Wojciech Mieszkowski.

tana byle by była w czymkolwiek użyteczna lub zabawna. Może niekiedy i zło dzieło znaleźć nie tylko czytelników ale i wielbicieli, ale na ów czas czytelnicy owi wraz z pisarzami będą tego rodzaju, o którym wspominał w satyrze swojej Boileau: *Glupi znajdują głupszego, który go pochwali*”.

Kiedy indziej „Co Tydzień” sławił skromność, umiar, rozsądek, ganił maniactwo podróźnicze, karciarstwo. Dużo miejsca poświęcał wyjątkom z greckich i rzymskich pisarzy oraz



bajkom. Przez nie to w zajmującej formie dawał czytelnikom nauki moralne.

Nie skąpił dowcipu. Pisząc jak zdobyć uznanie czytelników takie dawał rady: „Kawie i gotowalnikom, kanapie i sofom pokłon, i pierwszy pokłon, oddawać należy”.

Pierwszy, bo grzeczność na pierwszym miejscu. Damy sadowi.

Pierwszy, bo tej plei żywość i przeniknięcie najprędzej błąd postrzeże.

Pierwszy, bo nie tylko błąd postrzeć może, ale gdy zechce, choćby go nie było stworzyć...

Pierwszy, bo za ich zdaniem pleć męska idzie” itd.

Za tym piśmem tajemniczym, dowcipnym ukrywał się figlarnie słynny polski pisarz i poeta Ignacy Krasiński.

Po trzecim rozbiórze Polski w 1795 roku biskup warmiński przeniesiony został na arcybiskupstwo do Gniezna. W Gnieźnie jednak nie mieszkał. Za siedzibę obrał sobie Łowicz pod Warszawą. Tam to rodził się „Co Tydzień”, który w r. 1798 ujrzał światło dzienne w drukarni W. Deckera w Poznaniu i wychodził tu blisko rok.

„Co Tydzień” jest najstarszym polskim piśmem literackim drukowanym w Poznaniu i jest od dawna rzadkością bibliograficzną. Już w roku 1867 skarżył się Emil Kiński, autor pracy o czasopiśmie poznańskich, że nigdzie nie można znaleźć oryginału tego piśma. Biblioteki poznańskie nie posiadały ani jednego zabytkowego egzemplarza.

Obecnie dzięki technice mikrofilmowej Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu sporządziła kopię na podstawie egzemplarza sprowadzonego z Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie i oddała do użytku czytelników.

Nowy aparat spawalniczy

Jest to niewielki wózek, na którym zamontowano aparat spawalniczy. Wózek porusza się automatycznie po spawanych arkuszach blachy. Również elektrody podawane są automatycznie na miejsce spawania.

Nie widać tu jednak luku elektrycznego, wytwarzającego się przy spawaniu ręcznym. Tłumaczy się to tym, że koniec elektrody i spawany szew pokryte są równą warstwą specjalnego proszku, zwanego topnikiem. Proszek ten pokrywa luk elektryczny, i zapobiega rozpraszaniu się ciepła. Dzięki temu spawanie pod warstwą topnika odbywa się 5-10 razy szybciej niż przy ręcznym spawaniu lukowym, przy czym metal stapia się na znacznie większą głębokość. To nowe urządzenie spawalnicze zostało skonstruowane w Instytucie Spawalnictwa im. prof. Pato-

Badamy historię ZIEM ODZYSKANYCH

Przypadająca w roku bieżącym X rocznica powrotu do Polski Ziemi Zachodnich, nie zastaje polskich historyków z pustymi rękami. Spośród wielu ośrodków naukowych Poznańskiemu przypada rola może najważniejsza. Tu w Poznaniu działa Instytut Zachodni, który, po zlikwidowaniu Instytutu Bałtyckiego, obejmuje całość zagadnień Ziemi Odzyskanych. Tu ma siedzibę, powstały przy Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, Zakład Historii Pomorza. Z Poznaniem współpracuje ściśle coraz bardziej krzepnący ośrodek historyczny szczeciński i gdański.

BALET

„Romeo i Julia” na barwnej taśmie

Ze wznoszącego się wysoko nad Jałtą Wzgórza Czajnego rozpościera się przepiękny widok na Morze Czarne i malownicze krymskie miasto — uzdrowisko. Na wzgórzu tym dekoratory wytwórni filmowej „Mosfilm” wybudowali plac Verony z jego wspinałymi pałacami i wybiegającymi zeń średniowiecznymi uliczkami.

Są to dekoracje do nakręcanego przez „Mosfilm” kolorowego filmu — baletu „Romeo i Julia” do muzyki Prokofiewa. Film reżyseruje L. Arnsztam, operatorami są A. Szelenkow i Czen Ju-lan.

Z Moskwy do Jałty przybyło 125 artystów baletu Teatru Wielkiego ZSRR, studenci Szkoły Teatralnej im. Szczepkina i Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. W mieście rozklejono plakaty, zapraszano stałych mieszkańców Jałty i kuracjuszy do wzięcia udziału w scenach masowych. Amatorów zgłosiło się bardzo dużo.

Zamiast mechanicznego przenoszenia na taśmę całego spektaklu, który trwa około trzech godzin, tworzy się film, którego wyświetlanie zajmie półtorej godziny. Z przedstawienia baletowego wybierane są sceny i epizody najciekawsze, najbardziej wyraziste. Wiele scen robi się zupełnie inaczej niż w teatrze. Sceny staro ulicznych otrzymują znacznie większy rozmach.

Na ekrany radzieckie wejdzie ten film w pierwszej połowie bieżącego roku.

O wadze naukowego środowiska poznańskiego mówi fakt, że spod pióra uczonych poznańskich wyszedł szereg kapitalnych prac, jak np.: prof. dr. K. Tymienieckiego „Dzieje ziem polskich w starożytności”, odznaczone w 1953 r. nagrodą państwową pierwszego stopnia, prof. dr. Józefa Kostrzewskiego „Kultura prapolska”, prof. dr. W. Hensla „Słowiańszczyzna wczesnośredniowieczna”, prof. dr. G. Labudy „Państwo Samona — pierwsze państwo słowiańskie”.

Ostatnio w zeszycie 9/10 1954 r. „Przeglądu Zachodniego” ukazała się zbiorowa praca, poświęcona Ziemiom Odzyskanym w X-lecie Polski Ludowej, zawierająca obfity materiał do dziejów Pomorza i kształtowania się nowego życia na tej ziemi w ciągu X-lecia.

Przedwojenni historycy burżuazyjni, idąc śladem jagiellońskiej i szlacheckiej polityki wschodniej, zaniedbali badania nad dziejami ziem pomorskich i nadbałtyckich. Jedynie ośrodek poznański od chwili założenia przed 100 laty Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, próbował utrzymywać ciągłość badań historycznych.

Obecnie na nauce historycznej w Polsce Ludowej ciąży cały balast, typowy dla burżuazyjnej nauki historycznej. Odradzając się na gruncie metodologii marksistowskiej powojenna nauka polska, stanęła wobec odpowiedzialnego zadania gruntownego, źródłowego zrewidowania podstawowych tez i od wieków zakorzenionych sformułowań, dotyczących dziejów Pomorza. Myśl ta znalazła swój wyraz m. in. na sesji PAN w Gdańsku (25-29 X 1954), poświęconej 500-leciu powrotu do Polski Pomorza, kiedy to ogłoszono szereg zasadniczych referatów, ujawniających zniszczenia pomorskie już z nowego, marksistowskiego stanowiska.

Omawiany zeszyc „Przeglądu Zachodniego” jest częścią odbiciem tych gdańskich obrad. Znalazły się w nim artykuły tych, którzy w zjeździe pomorskim uczestniczyli i historyków najbardziej zainteresowanych problematyką Ziemi Odzyskanych.

A więc T. Cieślak przedstawia dorobek nauk społecznych w dziedzinie pomoroznawstwa. Szereg dalszych artykułów wykazuje zaszły zmiany i osiągnięcia na Ziemiach Odzyskanych w okresie 1945 — 54. I tak W. Myślenicki omawia przeobrażenia i osiągnięcia gospodarczo-społeczne

w woj. szczecińskim i koszalińskim, F. Jordan pisze oddzielnie o oświacie i kulturze na terenie tych województw. P. Smolarek charakteryzuje szczecińskie środowisko badań historycznych, Z. Krzymuska-Fafius informuje o ochronie zabytków i muzealnictwie w woj. szczecińskim i koszalińskim. H. Edel-Kryński opisuje osiągnięcia gospodarcze i kulturalne województwa gdańskiego, a Z. Januszko — przeobrażenia i osiągnięcia gospodarcze woj. olsztyńskiego.

Poza tym materiałem mamy serię artykułów treści historycznej, politycznej i prawnej, ale nie związane ściśle z Pomorzem w jego X-leciu rozwoju. Mąci to jednolity charakter zeszycu, zasadniczo pomorskiego. Może zapowiadana część druga, poświęcona X-leciu Ziemi Odzyskanych, będzie miała bardziej zwarty charakter.

HENRYK BARAŃSKI

Pamięci sołtysa słów kilka

Z chwilą wybrania gromadzkich rad naradowych przestaje istnieć stanowisko sołtysa. Z tej okazji warto poświęcić parę słów historii tego stanowiska i zmian jego funkcji w ciągu 8 wieków.

Nazwa sołtys pochodzi pośrednio od łacińskiego scultetus — późniejszego niemieckiego słowa Schultheiss. Był to wiejski funkcjonariusz typu wyższego. Występuje on nieco później niż mer w Alzacji. Pełnił on obowiązki sądownicze w społeczności wiejskiej, a także załatwiał czynności gospodarcze, gdy nie było mera. Początkowo (XI wiek) wybierany był on przez pana na rok, gdy jednak nie mógł sprostać zadaniom lub źle je wykonywał, mógł być w każdej chwili odwołany, a nawet płacić koszt, na jakie został pan narazony(!).

Instytucja sołtysa w Polsce została wprowadzona w XIII wieku w okresie kolonizacji, prawdopodobnie na miejsce „starosty” lub „żupana”. Był to odpowiednik miejskiego wojska na terenie wsi. Jak jeden tak i drugi należeli do lenników pana. Uposażenie sołtysa było znaczne. Co szósty łan do niego należał, brał trzecią część opłat sądowych, miał prawo prowadzenia karczmi i młynów, w których chłopci danego pana musieli mleć swoje zboże. Do obowiązków zaś należało: zbieranie czynszów, przewodniczenie na sądzie ławniczym i służba wojskowa. To stanowisko dziedziczne było nieładem kaskiem i dla mieszczan i dla samej szlachty, a zda-



rzało się, że sołtysi bogactwem i wpływami przewyższali właścicieli wsi.

Szlachta XV wieku nie mogła znieść na wsi tej warstwy, która nie pozwalała jej rozwijać gospodarki folwarczej. Skłoniła ona Władysława Jagiełłę do wydania w r. 1423 statutu wawerskiego, mówiącego m. in. o przymusowym sprzedaniu sołectwa komuś innemu lub panu, gdy dotychczasowy sołtys był buntowniczy lub „bezużyteczny”. Systematycznie szlachta odkupywała sołectwa w następnych wiekach. Dość należy, że część sołtysów weszła do szeregów szlachty. W XVII wieku niewielu sołtysów liczył Śląsk. W innych dzielnicach sołtysów już nie widzieliśmy. Funkcję sołtysa przejęli panowie, tym samym powiększyli swoją władzę nad poddanymi.

Urząd sołtysa, jako naczelnika „samorządu gminnego” reaktywowali rząd pruski w roku 1823. Władze wojta — już jako zwierzchnika nad większą ilością gromad, sprawował właściciel obszaru dworskiego. Dopiero w 1833 roku wojsk stał się płatnym urzędnikiem, wybieranym przez „regencję”. Sołtys za pełnienie funkcji korzystał z jednego lub kilku hektarów ziemi „sołeckiej”, wydzielonej w każdej gromadzie za-

boru pruskiego w czasie uwłaszczenia (1823—1860).

Ten charakter sołtysa utrzymał się do ostatniej wojny. Sołtys wybierali przede wszystkim bogaci gospodarze, albo z własnego grona, albo któregoś z biedniejszych, lecz im oddanego. Kulacy jako powód, żeby wybrać ich na sołtysów, podawali większe swoje możliwości zagospodarowania sołeckiej ziemi (większa ilość inwentarza) i większą znajomość spraw urzędowych. W ten sposób sołectwo stało się instytucją supremacji kulaków nad biedotą.

Po wyzwoleniu mało- i średniorolna wieś nauczona przedwojennymi doświadczeniami zaczęła na sołtysów wybierać ludzi swoich, oddanych sprawie budowy lepszego jutra. Kulactwo nie zrezygnowało jednak z walki o władzę. Za pomocą kombinacji i propagandy starali się albo utrzymać ją pośrednio w swoich rękach, albo przyczynić się do „bezkrolawia” na wsi. Tak to było w powiatach: wawerskim, szamotulskim, wrzesińskim i wielu innych. Dzięki czujności gromadzkich organizacji partyjnych, kół ZSL, ZSCh i Gospodyń Wiejskich, urząd sołecki pełnił najczęściej najlepsi chłopcy.

Dziś funkcja sołtysa przechodzi już do historii. Życie idzie naprzód, wymaga zmian. Pozostaną po niej dokumenty, zapiski, kroniki, które raz po raz zainteresują przyszłych młodszych dziejów i uczonych, i amatorów. Gwoli ciekawości i prawdy. I dlatego też na podzwonne pozwoiliśmy sobie naszym czytelnikom podać ten krótki rys historyczny. (pr)

Zwierzęta popelniające samobójstwo

W pewnych okolicach krajów północnych (Kanada, Syberia, Skandynawia) żyje ciekawy gatunek gryzoniów — lemingi. Zwierzęta te charakteryzują się najosobliwszym z obyczajów, jakie obserwujemy



Tak wygląda leming

wśród zwierzęcego rodzaju. Mianowicie w pewnym okresie popelniają masowo samobójstwo; setkami przewodują olbrzymie polacie, dążąc w kierunku wybrzeża, by zginąć w morskich falach. Nic nie potrafi ich odwieść od kierunku raz obranej drogi. Jaka siła popycha lemingi do samobójstwa? Nie wiadomo. Uczni jeszcze nie zbadali dokładnie przedziwnego zwyczaju. Być może, kiedyś zwierzątka te, wielkości szczura, wędrowały ku jakimś łodom, dziś zatopionym. Są to jednak tylko hipotezy.

Słoń-gigant

W Austrii, w dolinie Lavant, uczeni odkryli resztki olbrzymiego słońca prehistorycznego. W tym samym miejscu odkryto również bardzo dobrze zachowane kły mamutów oraz kości bliżej nauce nieznanego gatunków jeleni, żyjących prawdopodobnie 15 milionów lat temu.

Żeby mamie łatwo było trafić

Czy wiecie, że niektóre gatunki ptaków mają w okresie swego niemowlęstwa w wewnętrznej części dzioba małe brodawki, wydzielające światło? To oryginalne oświetlenie pomaga rodzicom karmić małe w nocy. Okazuje się po raz pierwszy, że natura jest bardzo pomysłowa...

Skąd się wzięły guziki na rękawie?

Normalnie — powiecie — żeby zapiąć marynarkę czy płaszcz. Ale skąd wzięły się guziki przy rękawach? Z czego ozdoby? Otóż początek przyszywania guzików do rękawów miał całkiem praktyczne przyczyny. Żołnierze, austriacy (i nie tylko oni) mieli brzydkie zwyczaj wycierania nosa rękawem. Bardzo to się nie podobało Marii Teresie, która specjalnym rozkazem wprowadziła obowiązek przyszywania ostrych czworokątnych guzików do rękawów swoich wojaków.

Zamek piastowski z XII wieku

We Wrocławiu dokonano ostatnio ciekawych odkryć historycznych. W sąsiedztwie Uniwersytetu odkopano szczątki starego zamczyska, będącego siedzibą książąt piastowskich w XII wieku. Poza fragmentami murów ceglanych i kamiennych wydobyto również części naczyń świadczących o bogatym rozwoju ceramiki u Słowian oraz płaskorzeźbę z drugiej połowy XII wieku.

Ilość zwierząt na kuli ziemskiej

Z okazji noworocznych remanentów warto jest wiedzieć, że liczeniem nie — egzemplarzy, lecz gatunków zwierząt, zajmował się w starożytności pierwszy — Arystoteles, który opisał ich 320. Linneusz (1758) zaprowadził pod tym względem systematykę i podwójną nomenklaturę łacińską, oraz znalazł już 4326 gatunków zwierzęcych. Liczba ta z końcem ubiegłego stulecia doszła do 42 000. Natomiast dziś już poznanych i opisanych gatunków liczy zoologia — przeszło milion. Najwięcej gatunków znajduje się w świecie owadów, bo około 750 000. Dotychczas nikt nie pokusił się policzyć zwierząt — na sztuki!

Człowiek „wyliczył” istnienie planety

Dr Wł. Krzyżaniak

„Gdyby jakikolwiek idealny umysł znał wszystkie siły działające w danej chwili w przyrodzie oraz wzajemny stosunek istot, z których ona się składa, i gdyby mógł wszystko ogarnąć w takim stopniu, aby wszystkie te dane poddać analizie matematycznej, wówczas mógłby on zamknąć w jednym wzorze ruchy największych ciał niebieskich i najdrobniejszych elektronów. Ta arcyznajomość jest właściwością natury ludzkiej i wynosi człowieka ponad zwierzęta.”

Laplace

Cytowane wynurzenie genialnego matematyka i astronoma pozwala przypuszczać, że — matematyka trzeba wierzyć, że — kiedy to nastąpi — jest się dożywno „skazanym” na myślenie jej kategoriami. Trzeba przyznać, że nie brzmiało to zachęcająco. Gdyby bowiem świat zapisał się samymi matematykami i przy tym przynajmniej ich większość przegnałaby z tej pięknej nauki — poezję i pojmowanie jej jako ciągle rozwijającego się organizmu, niewątpliwie świat stałby się nudny i po prostu nieznosny. Laplace kaze się nam jednak dorozumiewać, że, po drugie, matematyka pozwala nam najwięcej i najjaśniejszą „pochwyć” większość praw rządzących przyrodą w ogóle. Istotnie, wzór matematyczny, wyrażający prawo przyrody, opowiada nam, mimo swej lakoniczności, o wiele treściwiej i bardziej przewidująco, niż uczyniłoby to całostronnicowe literackie opisy, dlatego przede wszystkim, że wzór często „myśli” za nas.

WZÓR „MYŚLI” ZA NAS

Przy pomocy swoistych metod i przekształceń narzuca nam wnioski, których sprawdzenia na próżno oczekiwalibyśmy ze strony obserwacji zmysłowej.

Laplace powołuje się na „ruchy największych ciał niebieskich”. Oto na krańcach naszego układu słonecznego majestatycznie „powolnym” ruchem (5,5 km/sek...) obiega Słońce najodleglejsza ze znanych dotąd poza Plutonem planet — Neptun. 4 i pół miliarda kilometrów odległości, dzielących nas od Neptuna, nie sprzyja, rzecz prosta, dostrzeżeniu go „gołym okiem”, a nawet uzbrojonym w przeciętne instrumenty obserwacyjne.

W swoim czasie zaintrygowało jednak astronomię zachowanie się planety najdalej wóczas ze znanych, Urana. Mimo przeszło 3 miliardów kilometrów odległości dostrzeżono, że Uran — mówiąc językiem automobilistów — „zarzucał” jak gdyby na ogromnej „krzywiźnie” swej drogi. Powstał dobrze uzasadniony domysł, że poza Uranem musi obiegać jeszcze jakaś inna wielka, choć niewidoczna planeta, która przyciąga go ku sobie. Nie ma jej na żadnej mapie nieba! Ale matematyka ma wystarczające dane, aby przy pomocy wzorów wskazać miejsce przebiegu tajemniczego „intruza” w mechanizmie wszechświata.

Oto Leverrier zasiada do łosie „astronomicznych” rachunków, aby obliczyć, gdzie znajdować się powinna domniemana, zewnętrzna wobec Urana, planeta. Mijają dni i noce mrówczej i de nerwującej pracy, wreszcie jest ona ukończona. Leverrier oznajmia: nową planetę powinno się zobaczyć tu i tu, co rozumiemy jako wskazanie „palcem” pewnego punktu na niebie. Jeszcze tej samej nocy astronom Galle z niecierpliwością podchodzi do teleskopu. I oto we wskazanym według obliczeń miejscu dostrzega istotnie migoczącą „gwiazdka”, przeoczoną przez tysiące ludzi przez astronomów wszystkich ras i narodowości. „Gwiazdka”, planeta Neptun, sprawka zakłócenie ruchu Urana, zostaje namiesiona na mapy nieba.

Historia zdaje się być skończona, a jednak odkrycie to trzeba uznać za jeden z największych triumfów ludzkiego umysłu. Siegnięcie kategoriami matematyki na blisko 5 miliardów km w otchłań wszechświata (która tak przerażała matematyka Pascala), orzeczenie o istnieniu tak odległego dotąd niewidocznego świata (Neptun jest prawie 30 razy większy od Ziemi!) są to osiągnięcia, które muszą podziwiać na każdą wyobraźnię.

A W MIKROKOSMOSIE?

Ale Laplace powołuje się także na ruch „najdrobniejszych elektronów”. Siegnijmy i tu do odpowiedniego przykładu: Oto znakomicie rozbudowana teoria fi-

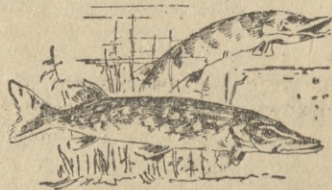
zyczna dostarcza nam przejrzystego obrazu konstrukcji atomu. Zdumiewająca analogia z systemem planetarnym! Naokoło jądra atomowego (niejako „słońca”) krążą w nim po orbitach roje elektronów, niczym planety. Makrokosmos (wszechświat) i mikrokosmos (atom) wykazują zbliżone założenia konstrukcyjne i zbliżoną mechanikę.

WZÓR NA... WSZECZŚWIAT

Zmienność świata, przejawiająca się zmianą jakości jego układów, sprowadza się do „funkcjonalnych” zmian ilościowych. Pitagoras pierwszy zmatematyzował dźwięki i harmonię muzyczną. Uczeń szkoły podstawowej wychodzi dziś z przekonaniem, że o jakości (wysokości) dźwięku rozstrzyga ilość drgań struny w ciągu sekundy. Z czasem oswaja się z tym ilościowym pojmowaniem zjawisk jako z rzeczą najbardziej naturalną. Ilość elektronów stanowi o jakości pierwiastka, ilość energii, przypadającej na wyrzucanie przez włókno żarówki „fotony”, stanowi o jakości jej światła, jakości ruchu ciał niebieskich (a z nimi i „naszej” Ziemi) uwarunkowana jest liczbą, wielkością i odległością wzajemną „mas” układu słonecznego. Tę rolę liczby można by ilustrować przez nie kończący się szereg potężnych tomów, w których trzeba by zawrzeć dotychczasową wiedzę człowieka o przyrodzie wszechświata, który zresztą — jak wiemy, rozszerza się (ulega „ekspansji”). Rozporządza my nawet wzorem na „rozszerzanie się wszechświata! Z wzoru tego wynika, że „narodziny” pierwiastków trwały nie dłużej niż godzinę. Tym większa świadomość nauk, że — i to potrafi obliczyć, tym większa intuicja dwóch, odległych sobie tysięcy lat, „petronów” naszej opowieści.

Co słyszać u ryb pod lodem?

Gdy śniegi otulają ziemię, chwytają pierwsze mrozy, rzeki i stawy przyoblekają swą zimową szatę. Z brzegu tworzy się cienka warstewka lodu, rośnie potem w miarę wzmagającego się mrozu i w końcu całe lustro wody pokry-



wa szklisty i przezroczysty lód. Normalnie przybiera on pewną określoną grubość, lecz nigdy nie wypełnia zbiornika do dna. Zawsze znajdujemy pod nim warstwę wody, w której życie luskowatych mieszkańców i wszelkiego rodzaju innych stworzeń toczy się dalej. Pod lodem panują stosunkowo znośne warunki bytowania, gdyż temperatura wody przy samym dnie utrzymuje się w granicach 4 stopni ciepła.

Oziębła się w piwnie górne warstwy wody. Następuje zjawisko krążenia i wymiany w poszczególnych warstwach zbiornika. Woda powierzchniowa z momentem przechłodzenia się do plus 4 stopni, opada (jako cięższa) w dół, ustępując miejsca wypływającym na powierzchnię drobinom wody z głębin, gdzie ich stopień ciepła

ty jest przecież wyższy. W momencie gdy w zbiorniku doszło już do wymiany mniej więcej całkowitej i przy dnie znalazła się warstwa wody najcięższej (plus 4 stopnie), wówczas warstwa powierzchniowa osiąga granicę zero stopni i jako lżejsza nie zstępuje już w dół. Z tym momentem drobiny wody powierzchniowej zamieniają się w lód. Oczywiście, w miarę wzrastających mrozów grubieje również warstwa lodu, lecz nie sięga ona dna zbiornika, gdyż pod lodem znajdują się warstwy wody o skali temperatury od 0 do + 4 stopni.

Lód tworzy znakomitą szatę izolującą, podobnie zresztą jak gruba warstwa śniegu stanowi skuteczną ochronę dla roślin skazanych na vegetację w okresie zimy. Ze pod błyszczącymi kryształkami lodu może panować względna ciepłota, świadcząca o „lepiej domki” eskimoskie (igloo) bądź lapońskie, b'owane z taflí śniegowo-lodowych i chroniące mieszkańców dalekiej północy przed groźnym mrozem.

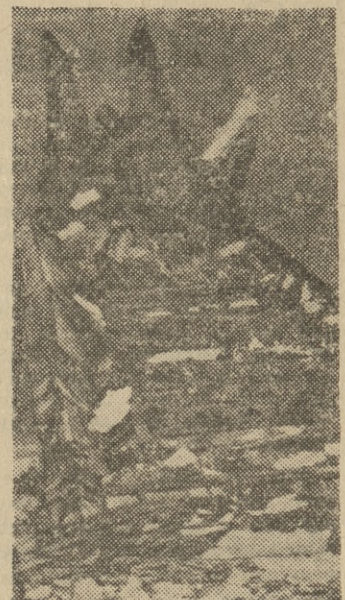
Weselne gody miętusa

I tu dochodzimy do rozwiązania tajemnicy, dlaczego ryby nie zamarzają pod lodem, co więcej, doskonale się nawet czują. Wprawdzie wiele gatunków spośród nich, szczególnie karpiołowych (karp, leszcz,

FARAON CHEOPS — CIĄGLE ŻYWY

Inżynier Kamal-el-Malakh niezwykle troskliwie dbał o powierzona mu budowę nowoczesnej drogi, wiodącej tuż pod bokiem piramid. Oddani mu robotnicy pracowali niezwykle ofiarnie, by jak najwcześniej przekazać gotową autostradę do użytku.

A jednak prace przerwano. Zwykły przypadek stał się powodem dla którego kilofy trzeba było odłożyć i zacząć się posługiwać najczulszym instrumentem, jakim są palce u rąk. Donosiliśmy już na łamach naszego dodatku o piramidzie Cheopsa. Dziś dysponujemy nowymi szczegółami i zdjęciami.



Fot. 1.

U stóp piramidy Cheopsa, gdzie przebiec miała nowoczesna szosa, natknęli się robotnicy w trakcie rozkopywania podłoża pod budowaną ulicę na nieduży ośwór, tyle tylko, że głowę weń można było wsadzić.

Przywołany natychmiast Kamal-el-Malakh, zaopatrzony w silną lampę „kieszonkową” spojrzał do wnętrza i oto co zobaczył (fot. 1).

Na dnie dużej pieczary leżał wrak, jak byśmy to określili, dużej, 30-metrowej długości łodzi z urządzeniami ratowniczymi i wiosłami — nie ma dwóch zdań, to tzw. „Łódź Słoneczna” faraona Cheopsa.

Uważnie i precyzyjnie, ostrożnie i wolniutko przystąpiono do wstępnych prac odkrywczo-badawczych, usuwając na dużej powierzchni „sklepienie groty”. W tej chwili usuwa się glazy stopowe wagi 42 ton, by umożliwić egipcjologom swobodne dojście do groty. By ją uchronić przed zgubnymi wpływami atmosferycznymi, montuje się swego rodzaju izolację, która broni groty przez słońcem i deszczem.

Kamal-el-Malakh i jego załoga robotnicza oddają ludzkości nieoceniony skarb wiedzy o dziejach tej ziemi i to po 4500 latach. (fot. 2).

Mumię Cheopsa dotąd nie znaleziono; widocznie wcześniej „padła ofiarą”... szabrowników, którzy uciegli archeologów. Znalezione natomiast rzeźbę z kości słoniowej tego faraona, który kilka kilometrów na poł-wschód od dzisiejszego Kairu kazał zbudować



Fot. 2.

nieprawdopodobnie olbrzymią piramidę — mauzoleum po wsze wieki.

Herodot wspomina w swych zapiskach historycznych o budowie tego olbrzymia i podaje, że 100 000 ludzi wznosiło go przez 30 lat. Sprzymierzeniecy w tej pracy był Nil; jego coroczne wylewy spędały wieśniaków z pól. Wtedy to sławne wody rozlewisk olbrzymiej rzeki umożliwiały przewożenie ogromnych głazów na miejsce budowy. I rosła ona, a z nią masywne podejście, na które wciągnano „saniami” glazy.

Ile potu ludzkiego, ile krwi poszło na tę snobistyczną budowlę — o tym nic nie wiemy (fot. 3).

Nie wiemy też dużo, powiedzmy — wiemy bardzo mało o życiu ludzi sprzed 4000—5000 tysięcy lat. Ale kamienie piramid Cheopsa przemówią i odkryją nam wszystkie chyba tajemnice, pozwolą rozróżnić się w kulturze tych czasów.

Albowiem przypadek — odkrycie Kamal-el-Malakh — Słoneczna Łódź Cheopsa — to „nitka Ariadny”, która wyprowadzi współczesną wiedzę z mrokwów piramid. (n)

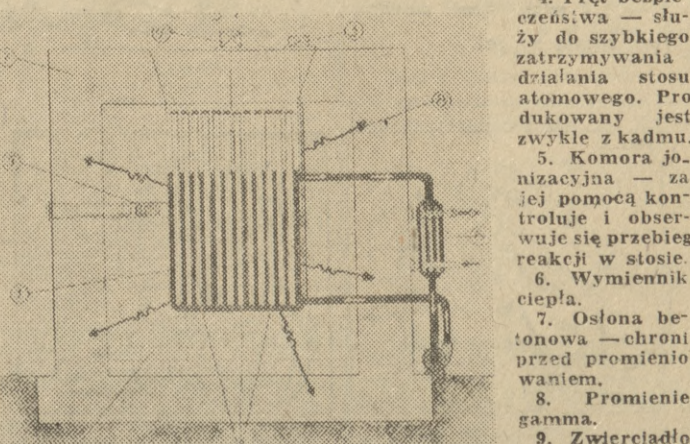


Fot. 3.

Stos atomowy

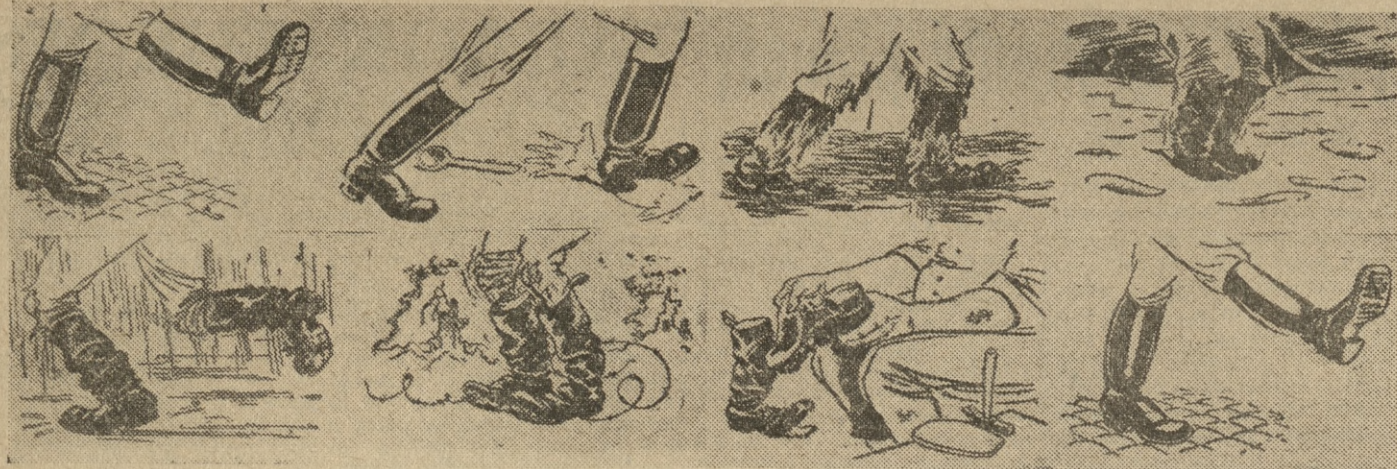
Stos atomowy — jest to urządzenie, w którym dokonuje się kierowana reakcja łańcuchowa rozszczepiania uranu. Energia atomowa wyzwala się w postaci ciepła.

1. Zbiornik z ciężką wodą. Ciężka woda hamując neutrony umożliwia jednocześnie wyprowadzanie ciepła ze stosu atomowego do wymiennika ciepła. Tam wykorzystuje się je do nagrzewania zwykłej wody lub gazu.
2. Pręty uranowe — wytwarzają się z czystego uranu naturalnego.
3. Moderator służy do regulowania przebiegu reakcji łańcuchowej. Produkowany jest z materiałów mocno pochłaniających neutrony (kadm, bor itp.).



4. Pręt bezpieczeństwa — służy do szybkiego zatrzymywania działania stosu atomowego. Produkowany jest z kadmu.
5. Komora jonizacyjna — za jej pomocą kontroluje i obserwuje się przebieg reakcji w stosie.
6. Wymiennik ciepła.
7. Osłona betonowa — chroni przed promieniowaniem.
8. Promienie gamma.
9. Zwierniadio neutronów — odbija neutrony.

Piscator



BUTY

Rys. Bidstrup. Kopenhaga

Kierownik radiowęzła w domu...



— Jak można tak głośno puszczać radio? To niekulturalne i aspołeczne!

i w biurze



— Tak, a teraz włączymy głośnik uliczny. Niech sobie pogra ze cztery godziny...

Uprzejmość służącego

Mr Dulles wraca do domu po krótkim pobycie w mieście. Wehdcie pyta służącego:

- John, czy był kto u mnie?
- Yes, sir. Był jakiś robotnik.
- Robotnik? — pyta zdziwiony Dulles. — I czego chciał?
- Mówił, że chciałby panu narzeczcie dać takie lanie, na jakie pan zasłużył.
- To bezczelność! Trzeba było zawiadomić policję, żeby się z nim rozprawiła. A wy, John, co zrobiliście?
- Powiedziałem, że bardzo żałuję, ale pana naprawę nie ma w domu.

Traszk

Żongler

Nie znasz go? To znany żongler: lawiruje, zmienia krokczek, lecz po linii idzie ciągle ten życiowy linio-skokczek.

O pewnym oszczędnym

Służbowym do pracy jeździ samochodem, niech się nikomu nie zdaje, to jasne. A potem stwierdza mimochodem: „nie tracę nigdy na tramwaje — obniżam koszty własne...”

Usprawnienie biurokraty

Gdy go poganiają, robi błogą minę i w tryb urzędowy wpuszcza wazelinę...

W. SCISŁOWSKI

Spotkanie z DUCHEM

W duchy przestałem wierzyć dość dawno. Było to pewnego wieczoru, kiedy ujrzałem, że spod białego całunu wychodzą podrapane nogi starzego brata. I dopiero wczoraj...

W gwarynych zazwyczaj pokojach redakcyjnych nie było już nikogo, cisza zalegała korytarze. Siedziałem przy biurku, gdy w pewnym momencie poczułem, że mnie ktoś obserwuje. Podniosłem oczy i — ujrzałem ducha.

Był to duch najbardziej przepisowy — biały i powłóczy sty. Stał w otwartych drzwiach sąsiedniego pokoju i kiwał przyjacielsko ręką. Zrobiło mi się zimno: duch był nie tylko przepisowy, lecz najzupełniej oryginalny. Nie dostrzegłem ani butów, ani kołnierzyka, ani w ogóle niczego z cywilizacji. Zapytałem więc grzecznie i bardzo melodyjnie:

— Szanowna osoba w jakiej sprawie?

— W smutnej — grobowym głosem rzekło widmo. Czy mogę wejść dalej?

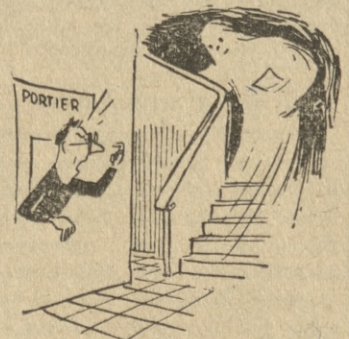
— Ba — pomyślałem że zgromadzę — czego ono nie może? — a głośno, żeby nie rozdrażniać, rzekłem:

— Bardzo mi będzie przyjemnie, proszę, oto krzeselko. Niech widmo spocznie. Jak zdrowie?

— Dziękuję, jakoś się zgrzyta.

Popłynęło bliżej i usiadło, zakładając nogę na nogę.

— Trudno mi było dostać się do środka. Portier nie chciał wpuścić. „Dziś nie ma zabawy kostiumowej w świetlicy” — mówi — a w duchy to on nie wierzy, bo chodzi na szkolenie



i jest materialistą dziejowym. Całe szczęście, że okna u was mają szerokie szpary.

Duch urwał i w zakłopotaniu miał rąbek całuna.

— Sprawa wygląda tak, proszę człowieka: kiedyś żyło się w Poznaniu, przy ul. Śniadeckich 17/9. Wiadomo, w życiu zdarza się to i owo. Mnie na przykład popsęły się zęby. Dziś takie coś wcale by mnie nie martwiło, ale wówczas, pan rozumie. Rada rodzinna namówiła mnie na wstawienie sztucznych — które miała wykonać Wojewódzka Protezownia Dentystyczna przy ul. Mickiewicza 21/25 w Poznaniu. Życie jednak krótko trwa — zanim się protezownia namyśliła, ja... — tutaj zjawia westchnęła i uczyniła eteryczny ruch ręką ku górze.

— Tak, to istotnie smutna historia — potwierdziłem. — Niech się jednak szanowne widmo tak od razu nie zraża. Protezownia pokazała dobre chęci, a że pacjent się, hm, zdematerializował, no, to raczej jego wina...

— Kochany redaktorze — przerwała zjawia dobroliwie — ja wcale nie żałuję, że nie mam tych zębów! Wprawdzie gorzej mi się zgrzyta, ale to głup-

stwo, koledzy wyręczają mnie w ramach astralnej pomocy sąsiedzkiej. Nie o to chodzi.

W rękach upiory pojawiła się biała karteczka.

— Oto co mi doręczono. Mam się zjawić koniecznie i osobi-



ście. Na ulicę Mickiewicza. W godzinach urzędowych. No, jak że to, redaktorze, we dnie? A kiedy mam spać, co?

Chwyciłem kartkę. Pochodzi-

ła z tej ziemi. Miała pieczęć i podpis.

— Pomóżcie, redaktorze, niech mi dadzą spokój! Przecież wszystkie zjawy i widma śmieją się ze mnie, że wstydu chyba pod niebo się zapadnę! I niech mnie nie straszą, że „w wypadku niezjawienia się wniosek nie będzie rozpatrzony”, bo mogę im się zjawić i kto się wtedy przestraszy?

Zawiadomienie leży przede mną na biurku. Duch zniknął, a ja ogłędam je długo i z coraz bardziej wzrastającym szacunkiem. Widać, że w tej przychodni są pracownicy ludzie. Pacjentów z tej ziemi im za mało, zjawy sobie zapraszają. Trzeba zresztą przyznać, że robota to bardzo kulturalnie, bo po ziemskich tarapatach pozwalają im wpiąć niewiele odpocząć. Przeciwnie... dwa i pół roku. Z duchem idzie robota, proszę klientów!

Szkoda tylko, że nie duchem...

GNOM

Zarząd Powiatowy ZMP w Nowym Tomysku bardzo lubi wysłać listy i sprawozdania pocztą — nawet wtedy, kiedy adresat mieści się w tej samej miejscowości.



— Hej, kolego! Dziękujemy za sprawozdanie! Ale na drugi raz nie zapomnijcie nakleić znaczka!

W tonacji Ha-dur

Słynny kompozytor Franciszek Lehar otrzymał kiedyś zaproszenie, na którym pan domu napisał tak: „Moja żona zagra na fortepianie pańskie kompozycje, moja córka będzie śpiewała arie z pana operetek, a punktualnie o dziewiątej zasiądziemy do kolacji.”

Lehar odpowiedział: „Dziękuję uprzejmie za zaproszenie. Przyjdę punktualnie o dziewiątej.”

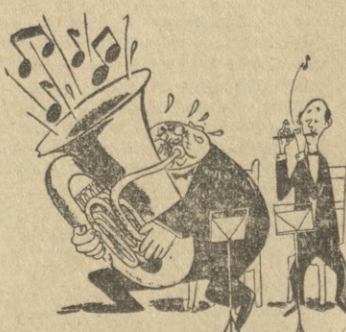
— Bój się Boga! Po co ta trąba?

— Muszę pocwiczyć. Jutro gramy walca „Przez fale wód...”

— ...i przy tym zarabia tyle samo, co ja!



— Tak, tak, trzeba było uczyć się na klawirze...



— Tak, tak, trzeba było uczyć się na kontrabasie...



Ja w mej chacie spać nie mogę, chcę u ciebie, przyjacielu! Moje okna — te na drogę — ram nie mają od dni wielu...

A gdy u drzwi dzwonek dzwoni — tak mi mocno serce skacze: kilka godzin muszę strwonić, nim otworzę... pogrzebaczem.

Oczy zamknę — to się marzy — dobry namiot albo szałas... Zna w kuchni obiad warzy, nagle — pada. Krzyk i hałas!

Ocykam się i w ocknieniu słyszę z proga głos niebogi: „Ratuj! Gine, stary leniu, w krzywych klepkach tej podłogi!”

Wstaję szybko, idę ku niej — ona zbija kostkę drapie: „Nawet zemdlec tu nie można, bo z sufitu woda kapie...”

Już nie mogę spać w mej chacie, chata dla mnie zgola grobem... Tutaj umrę. Ale, bracie, chciałbym razem — z brakorobem!

Według ob. A. Mickiewicza
Wojciech Tyblewski

TOIOWO

„Co jest przyczyną waszej kłeski w wyborach, senatorze Hamly?”

„Ja padłem ofiarą...”

„Ofiarą? Czego?”

„Uczciwego zliczania głosów.”

W gazecie pojawił się nagłówek: „Połowa zgromadzenia ustawodawczego stanu, to złodzieje i oszusty”.

Obrażeni zażądali sprostowania. W następnym numerze dziennika udzielono im satysfakcji, podając, że „połowa zgromadzenia ustawodawczego stanu to nie złodzieje i nie oszusty”.

Na ulicy prowincjonalnego miasteczka zatrzymało się auto. Z okna wychylił się kierowca i zawołał do przechodnia:

„Hej, przyjacielu, popilnuj mi tego auta, a ja skoczę po papierosy”.

„Sir” — oburzył się przechodzień — „ja jestem merem tego miasta!”

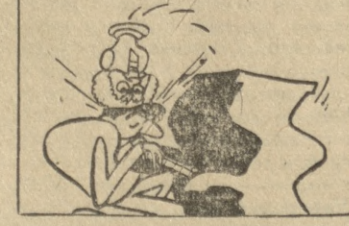
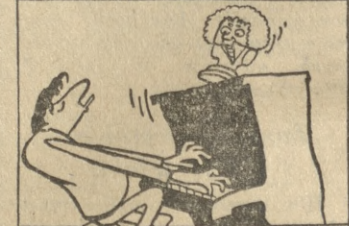
„Nie szkodzi” — odpowiedział kierowca — „masz przecież dosyć uczciwą twarz”.

Znany w całym mieście działacz polityczny wpada do redakcji:

„To wasz dziennik nazwał mnie kłamcą i oszustem?”

Redaktor:

„Nie podobnego! My drukujemy tylko najświeższe wiadomości...” (lc)



Historia bez podpisu

Bez słów